

Roger Waters przypomina publiczności „The Wall” z 1979 roku.

Roger Waters: najbardziej dochodowa trasa koncertowa ostatnich lat to jego „The Wall Live 2010-2013”.



# Retro-trasy

Peter Gabriel przekonał się do idei „retro-trasy”, kiedy usłyszał koncertowe wykonanie jednej ze swoich ulubionych płyt z młodości – „Pet Sounds” The Beach Boys.

Wykonawcy pop reanimują na koncertach swoje klasyczne płyty sprzed lat. Czy to wyraz nostalgii, mody, czy też konsekwencja istotnych zmian w przemyśle muzycznym?

Bartosz Szurik

Peter Gabriel wystąpi 12 maja 2014 w Łodzi w ramach trasy koncertowej „Back to Front Tour”.

**Z**e względu na duże zainteresowanie, jakim cieszyła się jesienna europejska trasa koncertowa „Back to Front Tour” Peter Gabriel zdecydował się kontynuować ją wiosną. Na stronie internetowej muzyka zapowiedziano już serię występów, które odbędą się w maju 2014 roku. Jeden z nich odbędzie się w Polsce – 12 maja 2014, w łódzkiej Atlas Arenie.

To świetna wiadomość dla rodzimych sympatyków Gabriela, zwłaszcza że orkiestrowy projekt, z którym artysta występował ostatnio w naszym kraju, mimo że momentami niezły, bardzo odbiegał od tego, do czego przyzwyczał nas w swoich utworach. Przebojowość jego piosenek w dużej mierze zależy przecież od mocnych rytmów i groove’u gitary basowej oraz perkusji. To one napędzają kompozycje. Siłą rzeczy, zabrakło ich w symfonicznych aranżacjach, zaprezentowanych na festiwalu w Oświęcimiu w 2012 roku. Tym razem wszystko będzie już „jak należy”.

W czasie „Back to Front Tour” wokaliście towarzyszy ponownie fenomenalna sekcja rytmiczna w składzie Tony Levin (gitara basowa) i Manu Katché (perkusja). Ten duet jest odpowiedzialny za najlepsze partie rytmiczne w dorobku Gabriela, a być może i jedne z lepszych w muzyce pop w ogóle. Ponadto w zespole znalazło się miejsce dla innych starych znajomych Anglika: gitarzysty Davida Rhodesa i klawiszowca Davida Sanciosa.

Każdy, kto miał szansę zobaczyć któryś z występów „Back To Front Tour”, może chyba potwierdzić, że Gabriel jako wykonawca prezentuje wysoką formę. Jak sam podkreśla w materiałach promocyjnych: jest to trasa, w czasie której ogranicza charakterystyczny dla siebie sceniczny rozmach oraz teatralne aspiracje i skupia się na muzyce.

Warto o niej powiedzieć więcej, bowiem – jak ostatnio często bywa – repertuar koncertów w ramach tej trasy pochodzi głównie z jednej płyty.

Pretekstem do ruszenia w tournée była 25. rocznica wydania albumu „So” (1986). Piąty studyjny longplay artysty – pierwszy nie wypuszczony pod tytułem „Peter Gabriel” – stał się jego największym komercyjnym sukcesem. To pozycja przełomowa, nie tylko ze względu na multiplatinową sprzedaż. Począwszy od okładki, a na atmosferze skończywszy, wszystko jest tu bardziej przystępne i popowe niż na wcześniejszych solowych albumach wokalisty. Zresztą, nie wszyscy fani Anglika przyjęli tę zmianę z uznaniem. Choćby sympatyk jego twórczości, Tomasz Beksiński, z wyraźną dezaprobatą wypowiadał się o singlach i największych przebojach z „So”, czyli piosenkach „Big Time” oraz „Sledgehammer”. Nawet jednak malkontenci musieli przyznać, że hity te zyskały (również dzięki rewelacyjnym teledyskom) wyjątkowe miejsce w muzyce popularnej.

„So” to płyta nietuzinkowa, ale skąd pomyśl, by nagle, po dwóch dekadach od jej wydania, przypomnieć ją publiczności?

W przeprowadzonej dla serwisu Google rozmowie Peter Gabriel wyznaje, że nigdy nie planował „retro-trasy”, jak określił cykl koncertów, w trakcie których artysta prezentuje w całości jeden ze swoich starych albumów. Dopiero występ Briana Wilsona, który na tej zasadzie przedstawił publiczności klasyczny krążek Beach Boys „Pet Sounds”, podsunął mu tę myśl. Gabriel, wielbiciel wspomnianego albumu, stwierdził, że usłyszenie go w wersji koncertowej od początku do końca było wyjątkowym przeżyciem.

Okazało się, że jest to również ciekawe doświadczenie dla samych muzyków. Reanimacja „So” pozwoliła Gabrielowi zmierzyć się

z dawnym repertuarem. Do przedsięwzięcia zaprosił tych samych instrumentalistów, którzy towarzyszyli mu w trakcie koncertów przed ćwierćwieczem. A dzięki rozwojowi techniki niektóre piosenki dopiero teraz stały się możliwe do zagrania na żywo. W końcu zaś koncertowe wykonanie płyty pozwoliło skorygować pewne jej niedociągnięcia, takie jak kolejność piosenek (na żywo piosenka „In Your Eyes” pojawia się w finale koncertu, a na krążku, z uwagi na ograniczenia związane z formatem płyty winylowej, trzeba ją było umieścić w środku).

Wygląda na to, że „retro-trasy” zyskują popularność wśród gwiazd muzyki. Na przykład jedno z największych i najbardziej dochodowych przedsięwzięć tego typu zorganizował Roger Waters. Eksmuzyk Pink Floyd w latach 2010-13 zbił fortunę, wystawiając na całym świecie spektakl „The Wall”, w całości odtwarzający słynny podwójny album grupy. Nawiasem mówiąc, Waters jeździł już wcześniej w trasy (z mniejszym powodzeniem) z koncertowym wykonaniem „The Dark Side of The Moon”. Płytę tę grali również (bez Watersa w składzie) pozostali muzycy Pink Floyd w trakcie swojego ostatniego wielkiego tournée w latach 90.

Ostatnio Ian Anderson przypomniał dzieło Jethro Tull „Thick As A Brick”, do którego zresztą wraz z zespołem dopisał ciąg dalszy. W 2010 roku trio Rush po raz pierwszy zaprezentowało koncertowe wykonanie płyty „Moving Pictures” z 1981 roku. Występy odbyły się w ramach „retro-trasy” pod jakże emblematyczną nazwą: Time Machine Tour.

Rockoperę „Tommy” odświeżył niedawno wokalista The Who, Roger Daltrey. W przyszłym roku grupa Yes zagra cykl koncertów, na których muzycy odtworzą nie jeden, ale trzy swoje klasyczne krążki: „The Yes Album”, „Close to the Edge” oraz „Going for the One”.

Do swego dawnego repertuaru powracają nie tylko wykonawcy pop czy klasyczne grupy rockowe, ale i zespoły reprezentujące cięższy kaliber. Metallica w czasie „Black Album Tour”, w ramach której wystąpiła także w Warszawie w 2012 roku, zagrała „Czarny album”... w odwróconej kolejności piosenek. Z kolei Iron Maiden właśnie skończyli tournée z repertuarem z lat 80., pochodzącym głównie z płyty „Seventh Son of a Seventh Son”.

Popularność tego typu wydarzeń skłania, by postawić sobie pytanie, czy jest to tylko moda, czy sposób na odcinanie kuponów od dawnej twórczości? A może znak, że typowy koncertowy format, polegający na mieszaniu utworów z najnowszej, promowanej przez



wykonawcę płyty z jego największymi przebojami, odchodzi do lamusa?

Chyba zbyt łatwym wytłumaczeniem fenomenu „retro-tras” byłoby zwrócenie uwagi na starzenie się samych wykonawców oraz ich wiernych słuchaczy. W czasie koncertu mogą wspólnie wspominać, „jak to kiedyś bywało”. Oczywiście, do starych piosenek wraca się niczym do starych znajomych; nostalgia odgrywa tu ważną rolę. Ale nie może chodzić tylko o nią.



Jak większość zmian zachodzących w przemyśle muzycznym, tak i wzrost popularności „retro-tras” może być pośrednio spowodowany rewolucją, której dokonał internet i pliki mp3.

W sytuacji, w której sprzedaż płyt przestała stanowić dla wykonawców i wytwórni podstawowe źródło przychodów, stają się nim koncerty. Granie materiału ze starych płyt pozwala rozbić typowy układ „nowa płyta-promocyjna trasa koncertowa” i koncertować (oraz zarabiać), nawet gdy brak nowego materiału. Swoją drogą, w nowej rzeczywistości chyba stosowniej mówić o tym, że to płyty wykonawców promują ich koncerty, a nie na odwrót. Wzrost znaczenia koncertów ma oczywiście swoje dobre strony. Skoro występy sceniczne są coraz ważniejsze dla przemysłu muzycznego, to nie należy się dziwić, że dzisiejsze stadionowe superpro-

dukcje są coraz bardziej efektowne i coraz sprawniej organizowane.

Inna rzecz, że powracanie do płyt, które ukazały się między latami 60. a połową 90., wskazuje ten okres jako pewną zamkniętą już epokę. Czas, w którym w świecie muzyki rozrywkowej panował po prostu inny paradygmat niż obecnie. Gdyby nie niezbyt fortunna konotacja z terminem architektonicznym, można by śmiało określić te lata jako epokę „wielkich płyt”. To wtedy

wielu współczesnym słuchaczom. O tęsknocie za tymi czasami świadczą choćby sklepowe półki, uginające się od ślicznych i drogich wydań klasycznych płyt sprzed lat. Pojawiają się one a to z okazji jubileuszów, a to w ramach standardowych reedycji.

I tak na przykład, przy okazji trasy „Back to Front Tour”, Peter Gabriel wypuścił reedycję „So”. Najbogatsze jej wydanie zawiera nowy remaster, płytę z wersjami demo



Tak miała wyglądać płyta Smashing Pumpkins w dobie internetu.



**Reedycje klasycznych płyt sprzed lat to łakomy kęs dla kolekcjonerów i wspomnienie „złotej ery” wielkich albumów muzycznych.**

rozwinęła się idea albumu muzycznego jako nośnika muzyki popularnej. W tych latach pojawiły się albumy, które osiągnęły nakłady, o jakich dzisiejsze wytwórnie mogą tylko marzyć. Nie ma co ukrywać, rekord sprzedaży wyśrubowany przez „Thriller” Michaela Jacksona jest bezpieczny. W ostatnich latach jedynie fenomenalna Adele wspięła się na znaczące miejsce na liście najlepiej sprzedających się płyt wszech czasów.

Dawny porządek z epoki „wielkich płyt” wciąż jest tym, co najbardziej odpowiada

piosenek, dwie płyty CD, dokumentujące koncert z Aten w 1987 roku, DVD z tym koncertem, DVD z filmem dokumentalnym oraz dwunastocalowy winyl. Cudeńko! Nic dziwnego, że tego typu reedycje cieszą się popularnością wśród kolekcjonerów.

A czy dziś powstają płyty, których wznowień będą się domagać słuchacze za 25 lat? To już nie jest takie pewne. Ponownie za ten fakt w dużej mierze odpowiadają zmiany, które na rynku wydawniczym wymusiła rewolucja formatów cyfrowych. W dobie plików mp3 słuchanie całych płyt to dla wielu słuchaczy po prostu anachronizm. Podobnie jak kupowanie całych albumów, skoro ulubioną piosenkę można odtworzyć w każdej chwili z sieci. Setki milionów wyświetleń na YouTube nie przełożyły się na rekordową sprzedaż niezłego przecież albumu Gotye. Słuchaczy bardziej interesowała piosenka,

**Iron Maiden A.D. 2012 powracają do materiału z lat 80.**



którą znali z internetu i radia niż cały krążek. Niewykluczone, że gdyby go kupili i przesłuchali kilka razy, znaleźliby więcej wartościowych rzeczy, a nie tylko z miejsca wpadający w ucho hit. Wgłębianie się w album to jednak znów działanie charakterystyczne dla złotego wieku płyt; dziś już w znacznej mierze anachroniczne.

W głównym nurcie muzyki popularnej myślenie o albumie muzycznym jako całości wymagającej poznania odchodzi do historii. Zestawy ulubionych piosenek słuchacze konstruują sobie sami za pomocą kilku kliknięć.

Wydaje się, że „retro-trasy” powstają jako przeciwwaga dla tych tendencji. Wychodzą naprzeciw wszystkim wielbicielom dawnego sposobu percepcji muzyki popularnej. Tak stara szkoła popu może sobie radzić we współczesnym show businessie. Inna metoda to spróbować oswoić nowe zasady.

Tej strategii próbował, niestety z marnym skutkiem, Billy Corgan ze Smashing Pumpkins. W 2009 roku postanowił, że zamiast publikować gotową tradycyjną płytę, będzie za pośrednictwem internetu wypuszczał co jakiś czas pojedyncze piosenki stanowiące kolejne fragmenty projektu „Teargarden by Kaleidyscope”. Miał być to nowy rodzaj albumu muzycznego, w gruncie rzeczy: „albumu-bez-albumu”, który poznaje się piosenka po piosence, jeszcze zanim cały cykl zostanie skomponowany i nagrany w całości. Nowatorska idea nie spotkała się jednak ze zbyt dużym odzewem. Zespół stracił zapal do tej produkcji i w 2012 roku wydał standardowy krążek „Oceania”.

A wracając do „retro-tras”: ostatnie lata udowodniły, że potrafią one być niezwykle dochodowe i przyciągnąć uwagę licznej publiczności.

Pozostaje tylko pytanie, czy jest to wykorzystywanie tęsknoty słuchaczy za dawnymi nagraniami, czy też „retro-trasy” mogą nieść ze sobą dużą wartość artystyczną?

Roger Waters, wystawiając po 30 latach „The Wall”, opowiedział całą zawartą na płycie historię w nowy sposób. Zmienił jej kontekst za pomocą mniejszych i większych modyfikacji w scenografii. Uczynił też spektakl o wiele bardziej efektownym.

Aktualizacja dawnych płyt, napięcie między zmianami a utrzymaniem znanej formy piosenek w trakcie przedstawiania ich na nowo, pozwalają stworzyć nową wartość. „Retro-trasy” mogą więc być wartościowe artystycznie. Czy tak jest w przypadku wskrzeszonej płyty „So” Petera Gabriela? O tym przekonamy się już w połowie maja 2014. ❄



### Thomas Dybdahl What's Left Is Forever

Micadventure 2013

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●○  
Realizacja: ●●●●○

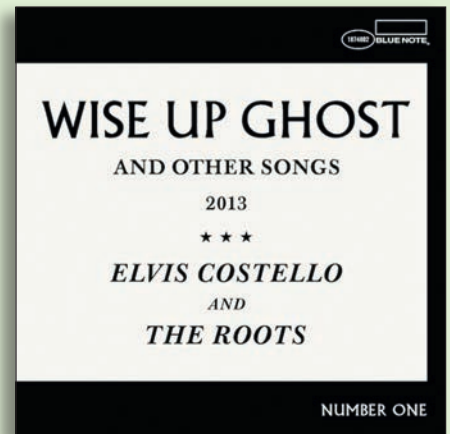
Jeśli ktoś oglądał film „Closer” i wciągnęły go ballady wykonywane przez Damiana Rice’a, z przyjemnością posłucha też tego zdolnego norweskiego wykonawcy. Nie twierdzą, że Thomas Dybdahl – bo o nim mowa – coś kopiuje. Przeciwnie, śpiewa własne, oryginalne piosenki, tyle że w klimacie, który mocno kojarzy się z twórczością irlandzkiego kolegi po fachu.

Dybdahl debiutował w roku 2000 (EP-ka z utworem „Bird”), a potem nagrał kilka albumów. Największym powodzeniem cieszył się „One Day You’ll Dance for Me, New York City” (2004). Po wydaniu „What’s Left Is Forever” ma szansę na międzynarodowy sukces.

Na płycie słyszymy sporo przyjemnych melodii. Może bez instrumentalnych fajerków, ale brzmiących jak należy. To taka wokalna muzyka na wieczory przy świecach. Na pierwszym planie mamy akustyczne gitary i delikatne perkusyjne ozdobniki. Słychać nawet organy Hammonda. Na singiel wybrano nieco żywsze nagranie „Man On A Wire”. Słusznie, bo wzbudza zainteresowanie i zachęca do posłuchania kolejnych utworów. A te są nawet lepsze od singlowego przeboju. Spokojniejsze i wysmakowane.

Dybdahl ma ciekawą barwę głosu. Miejskami śpiewa jakby szeptem, niekiedy falsetem. Wspomnianego Damiana Rice’a najbardziej przypomina w utworze „Shine”, świetnej piosence, zaaranżowanej wprawna ręką i fachowo zagranej. Z kolei w „City Lights” przenosimy się do amerykańskiego pop-folku w stylu Lee Hazlewooda i Dona McLeana. Warto posłuchać. ■

Grzegorz Walenda



### Elvis Costello and the Roots Wise Up Ghost

Blue Note Records 2013

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●●  
Realizacja: ●●●●○

Za każdym razem, kiedy ukazuje się nowa płyta tego genialnego piosenkarza, zastanawiam się, dlaczego nie udało mu się doczekać w Polsce popularności zbliżonej do tej, którą cieszy się w innych krajach. Jego przebój śpiewali nawet Bill Murray i Scarlett Johansson w kinowym hicie „Między słowami”. No cóż, widocznie nie do każdego trafiają świetne teksty, które w dużej mierze decydują o jakości jego nagrań i pewnie nie każdy lubi wykonawców często zmieniających artystyczne oblicze.

Na tej płycie Costello znowu zaskakuje. Po genialnym albumie z Burtem Bacharachem i nieco mniej udanej współpracy z Allenem Toussaintem, mąż Diany Krall wszedł do studia z hip-hopową grupą The Roots, która rozpoczyna telewizyjny talk show „Late Night with Jimmy Fallon”. Członkowie zespołu zgadali się z piosenkarzem, kiedy był gościem w tym programie. Efekt ich współpracy okazał się elektryzujący.

Współautorem większości kompozycji na albumie jest perkusista, a zarazem lider The Roots, Ahmir „Questlove” Thompson. On, Costello i stały współpracownik grupy, Steven Mandel, odpowiadają też za produkcję płyty.

The Roots oraz orkiestra symfoniczna tworzą tu zgrabny podkład, a Elvis Costello gra na kilku instrumentach i śpiewa. Efekt tej współpracy w pierwszej chwili wydaje się niecodzienny i może nieco zdezorientować fanów, ale w miarę rozwoju albumu coraz bardziej zaciekawia. „Wise Up Ghost” to jedna z oryginalniejszych tegorocznych premier. ■

Grzegorz Walenda